

"... nieobca mi była myśl, by opuścić miasto ze spiczastymi domami i gdzie indziej w świecie żyć dla swych zamiłowań. Szczęśliwy? Ależ jadłem wybornie".

Tomasz Mann, „Pajac”.

STARZEC

Był czerwiec, początek zimy, pierwszy dzień długiego weekendu - z okazji urodzin królowej. Siedziałem na wąskim łóżku w moim podłużnym pokoiku, oparty plecami o zimną ścianę. Przez małe okno bez firanki dobiegało tylko tyle światła, by zaznaczyć kontury okrągłego drewnianego stolika, chybotliwego krzesła z pałkowanym oparciem i starej szafy, w której skrzypiały obwieszone drzwi. Od paru chwil na dworze znowu padało. Krople deszczu spływały po zakurzonej szybie, złościąc misterną konstelację przedziwnych kanalików. Raz po raz spadała większa kropla, najpewniej wezbrana na gałązce bezlistnego drzewa, rozbijając się wśród mniejszych, pochłaniając je i pędząc w dół w szalonej gonitwie ku ziemi.

Za drzwiami było cicho. Czasem tylko dobiegło szurnięcie stóp na przetartym do szarych nitek dywanie i krótki astmatyczny oddech starca, który wracał z kuchni lub z ubikacji do pokoju obok. Przechadzał się na koniec długiego ciemnego korytarza, zaglądał do lodówki, aby sprawdzić, czy nic nie zginęło, wychodził na podwórze z tyłu domu, liczył cytryny na drzewie i wracał, zatrzymując się co kilka kroków. Zdawało się, że czeka na śmierć, która właśnie w tej chwili miała nastąpić. Inni mieszkańcy albo jeszcze spali, albo już umarli, bo z ich pokoiów nie dobiegały żadne dźwięki.

Właściwie wcale ich nie znałem, choć widywaliśmy się co dzień od ubiegłego lata, przeważnie w korytarzu lub w kuchni, lub w pokoju telewizyjnym, gdzie zbieraliśmy się tylko wieczorami. Byli małomówni, wyciszeni, ciągle zajęci swoimi myślami, których ponurość wryła się w ich twarze głębokimi zmarszczkami. Poruszali się jak cienie, wolno, ostrożnie, jak gdyby bali się, że gdy uczynią nagły, gwałtowny ruch, pryśnie grobowa atmosfera tego domu. Ilekroć próbowałem zagaic rozmowę, tak jak umiałem, koślawa angielszczyzną, odpowiadali monosylabami, o nic nie pytali, oddalali się w głąb swych myśli.

Raz spytałem w kuchni starca zza ściany, jakiej jest narodowości. Spojrzał na mnie nieobecny wzrokiem, jakby nie dosłyszał lub nie zrozumiał. Często zdarzało się, że musiałem kilka razy powtarzać to samo zdanie, zanim moi rozmówcy domyślili się z potoku słów upiętych w obcy akcent, o co pytam. Otworzyłem usta ponownie, lecz starzec odwrócił się i zaczął grzebać w szufladzie w kredensie pod oknem - w mojej szufladzie, w której trzymałem nóż, widelec, dwie łyżki różnej wielkości i otwieracz do puszek. Był to już czwarty komplet, który kupiłem, a jednak ciągle wierzyłem, że miejsce sztuców jest w kuchni. Znikały także karteczki, na których uparcie kaligrafowałem napis: „Nie kradnij”. Przecież kiedyś musiał wygasnąć popyt na moje sztuce.

Przez chwilę obracał je w palcach, ważył, delikatnie potrząsając dłonią - dźwięczały głuchym chrzęstem, spotęgowanym drewnianym echem głębokiej starej szuflady. Odwrócił lekko głowę i czułem, że kątem oka próbuje dostrzec, czy widzę, czy jestem, czy już wyszedłem. Nie poruszyłem się, chciałem zobaczyć, czy wkłada je do kieszeni, czy ściska w ręce, chciałem wiedzieć, jak to robi. Nie dlaczego, lecz jak. Odłożył je jednak, znów zadźwięczały, i wolno, z wysiłkiem zamknął szufladę. Ruszył w kierunku drzwi, nie patrząc na mnie, lecz zanim wyszedł, zatrzymał się na progu i ochryplym, przeżartym rakiem głosem powiedział:
- Jestem międzynarodowy.

Rzeczywiście, usłyszałem obcy akcent, ale nie umiałem określić, z jakiego języka pochodzi. Na pewno z europejskiego, potwierdzał to także wygląd starca. Tym bardziej więc pomyślałem, że ten człowiek mocno już zdziwaczał, bo jak obcokrajowiec mógł mówić o sobie takie dziwne rzeczy? Ja swoje pochodzenie nosiłem wymalowane w każdym ruchu, w każdym geście, w każdym grymasie twarzy.

Chłód ściany z wolna przenikał całe ciało, oparłem się o wezłowie łóżka, też zimne, lecz nie tak bardzo przejmujące. Wilgotny chłód może być dokuczliwszy niż najsroższy mróz. Gdy latem wynajmowałem ten pokój, wydawał się idealnym schronieniem przed upałem - wysoki, ciemny, oddzielony od piekła czterdziestostopniowego skwaru podwójną warstwą prawdziwej cegły. Teraz, gdy nastały nie kończące się dni wichrów znad oceanu i oberwały się chmury, okazał się cuchnącą wilgocią norą, w której każdy dzień wyglądał bardziej ponuro niż poprzedni. Zbutwiała pod zniszczonym dywanem podłoga, gnijące półki w szafie, pleśń we wszystkich rogach, nieprzyjemny dotyk bielizny i pościeli, powodujący dreszcze - wszystko zdawało się obrzydzać mi ten kraj, który kiedyś dawał nadzieję, przyszłość, życie.

Parę dni wcześniej, próbując zaradzić zimnu, kupiłem mały przenośny grzejnik elektryczny. W pokoiku zrobiło się przytulnie jak w rodzinnym domu, gdy ojciec napalił w kaflowym piecu. W okamgnieniu szyby pokryły się rosą i przeciążone krople zaczęły spływać na wąski parapet. Opróżniłem szafę i porozkładałem wilgotną odzież gdzie się dało, po czym usiadłem w strumieniu ciepła i z rozkoszą rozgrzewałem dłonie. W pokoju rozlegał się tylko błogi szum małego silniczka, który jednak na korytarzu musiał przemieniać się w jakiś przerażający huk, a może zdradziło mnie ciepło, które uchodziło przez szpary w drzwiach. Dość że jeszcze tego samego wieczoru, nagle usłyszałem trzaśnięcie klucza w zamku i w progu stanęła właścicielka domu, mała kobieta o lisiej twarzy i wiecznie zaciśniętych ustach. Leżałem już w łóżku, ciepłe powietrze owiewało porozkładane ubrania, prawdopodobnie w pokoju było gorąco. Zanim zdążyłem się podnieść, kobieta wyszarpnęła przewód elektryczny z kontaktu i pochwyciła grzejnik pod pachę. Przez cały czas z jej ust sypała się lawina słów, z których zrozumiałem tylko te powtarzające się najczęściej: prąd, dolary, ulica, prąd, dolary, ulica.

Gdy wyszła zabierając z sobą mój grzejnik, siedziałem na krawędzi łóżka jak osłupiały, nie wiedząc, czy protestować, a jeśli tak, to w jaki sposób, czy śmiać się, czy płakać z rozpacz. Ubrałem się ciepło i poszedłem do budki telefonicznej na sąsiedniej ulicy. Długo stałem przyciskając słuchawkę do ucha. Krople deszczu prześcigały się na szybie i skrzyły się w reflektorach przejeżdżających samochodów. W oddali biegał po trawniku zmoknięty pies i obwąchiwał pnie młodych drzewek. Gdy zbliżył się do budki, wyciągnąłem rękę - zamachał

ogonem, lecz nie podszedł, pobiegł dalej, do następnego drzewka. Telefon nie odpowiadał, odwiesiłem słuchawkę, córki nie było w domu.

Nie było jej w domu także tego rana. Może wyjechała z dziećmi za miasto? Przecież jest długi weekend, urodziny królowej, wszyscy dokądś uciekają - myślałem, leżąc oparty o wezłowie łóżka. Wtem usłyszałem jakiś dziwny szmer na korytarzu. Podniosłem się, nałożyłem wełniany sweter zapinany na guziki i wyszedłem z pokoju, lecz nikogo nie było. Ruszyłem w głąb ciemności, w kierunku kuchni. Słyszałem krótki, astmatyczny oddech i szmer kroków na dywanie. Stawałem co chwila, aby nasłuchiwać - cisza. W kuchni również nikogo nie spotkałem, sprawdziłem lodówkę - nic nie zginęło, sztucce także leżały na swoim miejscu w szufladzie, a obok nich cztery karteczki z napisem: „Nie kradnij”. Wyszedłem na podwórze, policzyłem cytryny na drzewie - były wszystkie. Obszedłem cały dom i wszystkie pokoje, zajrzałem do ubikacji i nawet do szopy, do której prawie nigdy nie wchodzę - tam umarła moja żona. Nie było nikogo.